Rok VIII. 31-go stycznia 1889 r. Nr 2

WYDAWNICTWO „WALKI KLAS“

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Szwajcaryi, Francyi. Belgii i we Włoszech: 5 franków.

W Niemczech z przesyłka w kopertach 10 fr.

Organizacyje socyjalistyczne i robotnicze korzystać mogą z ułatwień.

PRZEDŚWIT

(L'AURORE)

CZASOPISMO SOCYJALISTYCZNE

WYCHODZI DWA RAZY NA MIESIĄC.

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Austryi 5 guldenów. W Rosyi 5 rs.

Cena Numeru pojedynczego 20 centimów, pod opaską 25 cent., w kopercie 40 centimów.

Prenumeratę i korespondencyje z kraju nadsyłać należy w listach rekomendowanych.

Adres Redakcyi i Administracyi: GENÈVE, Chemin Dancet 15, Imprimerie de l'Aurore.

NIENAWIŚĆ
do socyjalizmu rewolucyjnego

Socyjalizm rewolucyjny ma w każdym kraju zawziętych przeciwników. Nieprzyjaciele socyjalizmu rewolucyjnego występują pod najrozmaitszemi maskami, zrzadka tylko ośmielając się pokazać całe swe żądło. Jedni usiłują przedstawić, że chcą reform społecznych, — inni, że im chodzi o drobne mieszczaństwo lub drobną własność; fabrykant zwraca uwagę na niedolę włościanina, wyzyskiwanego przez posiadacza ziemskiego, jednocześnie ukrywając widok ograbionego robotnika fabrycznego, a szlachcic naodwrót ujmuje się za tym, którego przemysłowiec wyzyskuje, by tem łacniej i bardziej niepostrzeżenie oszukiwać robotnika wiejskiego. Urzędnik udaje, że jest obrońcą ludu wobec klas posiadających, a każdy wyzyskiwacz stara się wmówić w pracującego, że go broni od ucisku rządowego. Najgłupsi zwalczają socyjalizm w imię patryjotyzmu lub socyjalizmu patryjotycznego: są to najgłupsi, bo frazesami walczą i łudzą się tem, że ludność robotnicza może podejrzywać socyjalizm rewolucyjny o to, że co innego ma na myśli, a nie dobro, wolność i szczęśliwy rozwój całego kraju.

Wszyscy ci przeciwnicy, pomimo różnicy, która ich dzieli, mają jednę wspólną dla siebie sprawę, a mianowicie: nienawiść do socyjalizmu rewolucyjnego.

Co zradza tę nienawiść?..

Socyjalizm rewolucyjny jest hasłem ubogich, krzywdzonych, wyzyskiwanych, jest hasłem tych, którzy pracują. Odejmcie ludowi możność uświadomienia się i poznania prawdy, a wyzysk i grabież pracy ludowej spokojnie panowałyby, niszcząc lud i ubożejąc kraj. Przeciwko temu rozpasanemu panoszeniu się wyzysku występuje socyjalizm rewolucyjny, uświadamiając lud roboczy, organizując go do walki o codzienny grosz, który mu wydzierają i przygotowując go do bitwy ostatecznej, z której praca wyjdzie wyzwoloną, a człowiek oswobodzonym.

Bez wątpienia, że socyjalizm nie jest najpierwszym krzykiem uciskanych. Niezadowolenie i szemranie wyzyskiwanych dłużej trwa od dzisiejszych haseł socyjalistycznych. Od czasu, gdy społeczeństwo podzieliło się na panujących i opanowanych, na tyranów i na ciemiężonych, — na posiadaczy, którzy wyzyskują, i na pracujących, którzy są wyzyskiwani, — istnieje cichy bunt ubogich, który chwilami wybucha i zapala lont walki domowej. Tak powstawali dawniej niewolnicy, tak burzyli się poddani, żądając swobody i naprawy swego położenia.

Tak wreszcie i dziś powstaje myśl buntu. Różnica wszakże zaszła ogromna między szemraniem ludu za dawnych czasów a dzisiejszą opozycyją klas pracujących. Podczas gdy dawniej nieliczne tylko warstwy cierpiącego ludu mogły odrazu się porozumieć, przejąć się zasadami reform i zorganizować się w jednolitą siłę, — dziś hasło ubogich, hasło rewolucyi społecznej, ma wszędzie dostęp, przebija się do mas całych, do narodów. Rewolucyja więc socyjalna nie może już być miejscową, ale powszechną i międzynarodową; siła jej jest stokroć większą, niż siła dawnych buntów. Ztąd też gniew i rozpaczliwa nienawiść klas posiadających.

By uśpić uwagę ludu, by podział zrobić między wsią a miastem, by ocalić własność w rękach panów, zjawiają się ludzie, którzy z kłamliwymi projektami reform, chcą się wkraść w zaufanie klas pracujących. Ci to fałszywi mesyjasze rzucają klątwę na socyjalizm za to, że jest rewolucyjnym i że chce siły ludowej, która by mogła sama zdobyć sobie lepszą przyszłość.

Dla nich może socyjalizm byłby mniej niebezpiecznym, gdyby agitatorowie socyjalistyczni starali się wpoić w ludność pracującą przekonanie, że szlachta i fabrykanci sami dokonają reform, że spekulanci sami zaspokoją potrzeby robotników itd.

Ale socyjalizm tylko rewolucyjnym być może. Jako naturalny obrońca interesów pracy ujarzmionej ma on za swój obowiązek budzić do życia uciemiężony lud i nie pozwolić na to, by go usypiano kłamliwemi obietnicami i wrzekomemi reformami. Pracujący powinien bowiem zrozumieć, że był on dotychczas kowadłem, narzędziem w rękach pańskich i że nawet w chwili przebudzenia się nieraz za soczewicę sprzedawał swe prawa, że zorza świadomości poczyna już wschodzić dla niego i że ta świadomość da mu należyte pojęcie o jego roli, jego położeniu, jego prawach i jego przyszłości.

Sztuczne zadowolenie mas, które panowie utrzymywali, dzięki uciskowi i ciemnocie, upaść musi; uświadomiony lud pracujący musi wypowiedzieć głośno swe niezadowolenie i od słowa przejść do czynu, by zdobyć sobie swobodę i niezależność, swą pracę i swe prawa.

W samej rzeczy dosyć już tego wstrętnego widoku, który przesuwa się przed oczami naszemi, by wobec nagromadzonych bogactw, wobec pałaców i zbytków, biedny pracownik miał ginąć w nędzy i ciemnocie. Panowie chcą, by on czuł się zadowolonym ze swych szmat, ze swego ubóstwa, ze swych kartofli i ze swej nory, która mu jako mieszkanie służy. Socyjaliści uważają, jako swój pierwszy obowiązek, obudzić w nim niezadowolenie i natchnąć go myślą buntu, walki, która ma trwać, dopóki słońce wolności i równości nie zaświeci uciemiężonemu ludowi.

Nie dziw więc, że nienawidzą i prześladują socyjalistów rewolucyjonistów. Nie dziw także, że klasy posiadające wyrzucają na nas smyczę swych pismaków i swej „młodzieży“, by plwać na nas. A gdy potwarz i żandarmi nie pomagają, wtedy najemnicy i głodni karyjerowicze starają się fałszować zasady, starają się ukraść socyjalizm tak samo, jak ich pryncypali kradną pracę.

Czytelnik może się zapytać wszakże, dlaczego między potwarcami socyjalizmu spotykamy ludzi, majątkowo wcale nie zapewnionych. Nie dziwnem jest wcale, gdy fabrykant, przedsiębiorca lub pan na wsi rzuca klątwę na słowa prawdy socyjalistycznej; im chodzi o pewność wyzysku i o spokój w wyzysku. Ale ta cała zgraja małych urzędników, dziennikarzy, doktorków, adwokacików i t. d. dlaczego ona sama niepewna swego jutra, napada na hasła, które wszelkiej pracy wyzyskiwanie głoszą.

Panowie ci, nauczywszy się pewnego rzemiosła, które *dziś* panowie lepiej może opłacają, niż biedny lud, widząc, że ubogi i wyzyskiwany pracownik nie jest wielkim spożywcą tego towaru, który oni na sprzedaż mają, przyłączają się do partyi bogatych i wyzyskujących, bo okruchy z ich stołu jeszcze są większe od majątku ludowego. Jednocześnie z towarem sprzedają im swe sumienie, swe przekonania. Tu to właśnie zgraja w pismach i broszurach, na zebraniach i w pogawędkach używaną jest do okradzenia klasy pracującej z jej świadomości.

Widząc, że świadomość socyjalistyczna wzrasta z dniem każdym, klasy posiadające postanowiły zalać lud fałszywym socyjalizmem, tak samo, jak w walce konkurencyjnej zalewają rynki sfałszowanymi towarami. Przedewszystkiem klasie posiadającej idzie o złamanie samodzielności ludowej i dlatego przeciw socyjalizmowi rewolucyjnemu stawiają fałszywe hasła, napozór przypominające hasła socyjalistyczne.

Dlatego też mówią o reformach z góry, które same klasy posiadające dadzą ludowi. Idzie im o to, by lud, uwierzywszy w dobrą wolę klas wyższych i rządów, zaniedbał samodzielne swe zorganizowanie. Póki zaś lud o własnej sile nie wystąpi i póki posiadać będzie jakiekolwiek zaufanie do klas wyższych, — póty nie ma co mówić o zwycięztwie interesów ludowych, póty wyzysk odbywać się będzie bez przeszkód.

Dlatego także prawią u nas ludowi o patryjotyzmie, by w ten sposób przykuć lud do klas wyższych. Panowie ci wiedzą, że tylko socyjalna rewolucyja ma rzeczywiście na celu interes kraju, interes ojczyzny. Ale im nie chodzi o interes kraju, o interes ojczyzny, lecz o przykucie mas ludowych do klas posiadających, by przeszkodzić samodzielnej polityce ludowej.

Jeśli więc ta garstka tak zwanej inteligencyi rzuca gromy na socyjalizm międzynarodowy i rewolucyjny, to powoduje nimi interes, chęć zyskania miejsca przy klasie bogatej.

Dzisiejszy porządek rzeczy opiera się nietylko na wyzysku i gwałcie, ale nadto na zepsuciu i na sprzedajności sumienia. Sprzedajni i zdemoralizowani stanowią smyczę, którą porządek panujący rzuca na nas wraz z żandarmami, policyją, szpiclami itd. Ci ostatni stanowią siłę brutalną, podczas gdy pierwsi mają za zadanie truć budzącą się w ludzie świadomość i skierować ją na fałszywe drogi.

Ale jad tej trucizny nie jest tak bardzo niebezpiecznym; piana, która leci z ust sprzedajnych, rozpędzoną zostaje i nie może nawet dotknąć tych, dla których jest przeznaczoną. Nienawiść ta niewiele nam szkodzi; a gdy nabierzemy dosyć sił, by przeciw dziś panującej sile brutalnej można było przeciwstawić siłę, wtedy nie będzie nam wiele brakowało do ostatecznego zwycięztwa.

ROBOTNICY I RĘKODZIELNICY

Nieraz poruszaliśmy już stosunek rękodzielników do klasy robotniczej; nieraz już wykazywaliśmy, jakie niebezpieczeństwo grozi naszym rzemieślnikom. Nie omieszkaliśmy także wskazać na jedyny środek leczniczy; powtarzaliśmy i to, że jedyny środek zbawienny dla naszych rzemieślników, to zbliżenie się z ludnością robotniczą...

Obie korespondencyje, które dziś pomieszczamy (z Warszawy i z Poznania), wykazują, że

kwestyja stosunku rzemieślników do klasy pracującej jest pierwszej wagi. Zarówno w interesie klasy robotniczej, jak i w interesie rękodzielników jest konieczne zbliżenie się dla wspólnego wyzwolenia się od ucisku kapitału.

Tymczasem rękodzielnicy nieraz oświadczają się przeciw robotnikom i prowadzą politykę wrogą interesom ludu pracującego i wolności. Nie chcemy bynajmniej powiedzieć, że rękodzielnicy na słowach występują przeciw klasie robotniczej; „na słowach“ to nawet panowie i rząd oświadczają się w obronie klasy pracującej. Mówimy tu o polityce, o żądaniach rękodzielników.

Przedewszystkiem wiemy, że rękodzielnicy mają zawsze na ustach napaści przeciw „bezgranicznej wolności przemysłu.“ I socyjalizm nie ustaje w swej krytyce dzisiejszej wolności przemysłowej. Ale podczas gdy socyjalizm zwraca się przeciw konkurencyi i wielkiemu kapitałowi, podczas gdy socyjaliści napadają na dzisiejszy system własności i monopolu; rękodzielnicy chcą tymczasem inaczej ograniczyć panującą obecnie wolność przemysłową.

Nie przeciw wielkiemu kapitałowi zwracają się rękodzielnicy, ale przeciw biedniejszym od siebie: przeciw stowarzyszeniom spożywczym, przeciw pokątnym handlarzom, przeciw biednym robotnikom.

Nieraz się zdarza, że rękodzielnicy żądają cechów, książeczek dla robotników, usunięcia handlarzy, a nawet ograniczenia wolności przesiedlania się i wędrowania i t. d.

Otóż niektóre z tych żądań są zwyczajnym uciskiem policyjnym dla klasy pracującej. Czem jest żądanie książeczek dla robotników? Czyż robotnik, który ma przymusową książeczkę, nie jest oddany w ręce fabrykanta? Czyż ograniczenie wolności przesiedlania się i wędrowania nie powiększa fabrykantowi szans zgniecenia strejku? Widzimy zatem, że żądania takie są wymierzone wprost przeciw robotnikom.

A przytem co to za marzenie, by ograniczyć wolność przemysłową, przy panowaniu wielkiego kapitału i wielkiej własności! Marzenie to przytem niebezpieczne, bo na ile się może ziścić, na tyle jest ono wymierzone przeciw pracującym, przeciw biednym. Z drugiej strony takie ograniczenie wolności przemysłowej, jak nieraz rękodzielnicy żądają go, jest po prostu wprowadzeniem monopolu, przywileju na rzecz bardzo nielicznej garstki majstrów.

Bądźmy więc otwarci! Powiedzmy zatem jasno i głośno, że nie idzie tu o interes pracy, o interes rękodzieła, ale o interes majstrów. Gdyby to zresztą szło o interes wszystkich majstrów! Nawet i to nie wchodzi tu w grę! Idzie bowiem o nielicznych tych majstrów, którym przywilej coś pomoże. A drobni majsterkowie, ci, którzy niczego już nie mają, którzy wyzuci zostali ze wszystkiego, ci, którym nadany przywilej już nie pomoże, ci pójdą z torbami i zastaną tylko nowe prześladowania, nowe formy ucisku, które wynikną z ograniczenia wolności przemysłowej i z książeczek dla robotników.

Ale ci, co chcą monopolu, nie wezmą nam za złe, jeżeli zajrzymy do wnętrza ich warsztatów. Wtedy okaże się, że u majstrów rękodzielników położenie robotnika nietylko nie jest lepszem od losu najemnika fabrycznego, ale prawie zawsze znacznie gorszem jeszcze. Zjawia się więc zapytanie, w imię czego panowie majstrowie chcą nawoływać swą czeladź do walki z kapitalizmem? Czy dlatego, by kilkuset majstrów otrzymało nowe przywileje?..

Jasno, jak na dłoni, że robotnicy z takimi przeciwnikami kapitału nie mają nic wspólnego. Byłoby to samobójstwem dla klasy pracującej, gdyby ta popierała monopolistyczne zachcianki niektórych rękodzielników. Ci panowie wprawdzie z szumnymi frazesami występują przeciw kapitalistom, ale tem nie zdołają nas otumanić. Wszak oni sami w żądaniach swych równie wrogo występują przeciw robotnikom. Polityka, by frazesami zwalczać kapitalistów, a z tyłu napaść na robotników nie może już mieć powodzenia, bo nie znajdzie już łatwowiernego posłuchu u klasy robotniczej.

Żądamy gorąco tego, by robotnicy z rękodzielnikami szli ręka w rękę, ale sojusz ten tylko wtedy ma sens i tylko wtedy jest możliwy, jeśli rękodzielnicy zsolidaryzują się z robotnikami i z interesami robotników.

Rękodzielnicy muszą zrozumieć, że niemożliwem jest wstrzymać bieg rozwoju społecznego, że oni sami również jak i robotnicy żadnego interesu nie mają w tem, by utrzymać dzisiejszy system produkcyi i dzisiejsze porządki ekonomiczne. Gdyby żądania rękodzielników mogły być urzeczywistnione, to jedynym rezultatem byłoby przedłużenie agonii, konania rzemiosł dzisiejszych. Kto zaś odniósłby z tego korzyść? Jużci nie cały stan rzemieślniczy! Mniej zasobni prędko zginą, utrzymają się jakiś czas tylko nieliczni, bogatsi, małej cząstce których może się udać wejść w szeregi kapitalistów.

Dzisiejsza więc polityka rękodzielników bynajmniej nie ma na celu interesów i dobra wszystkich rękodzielników, ale tylko małej garstki zasobnych majstrów. Wreszcie skorzystają i kapitaliści, wnosząc rozdwojenie w obóz uciskanych przez dzisiejszą wielką i fabryczną produkcyję oraz przez dzisiejszy system wielkiej i zmonopolizowanej własności.

Kto z rękodzielników widzi przed sobą wyjście na drodze przywilejów i łączności z wyzyskiwaczami, ten będzie się trzymał tak zwanej polityki drobno - mieszczańskiej. Zrobi on to w swym własnym interesie, a nie dla dobra swego stanu lub kraju całego. Ale inni, którzy nie o wyzyskiwaniu, jeno o życiu z pracy swej myślą, zastanowią się głębiej nad położeniem kraju i zleją się z ludem pracującym w jedno wielkie stronnictwo, w stronnictwo wyzwolenia pracy.

Rękodzielnik, który myśli o walce z kapitałem i kapitalistami, który chce położyć koniec wyzyskiwaniu człowieka przez człowieka, ten nie może z drugiej strony chcieć z tyłu napaść na ludność robotniczą i poddać ją pod przepisy policyjne, ten także nie może liczyć na to, by przywileje dla nieznacznej garstki mogły stanowić rzetelną politykę krajową.

Z tego względu będziemy śledzić za polityką naszych rękodzielników. Zwrócimy uwagę lepszych na samolubne plany gorszych; będziemy zachęcać do sojuszu robotnika z rękodzielnikiem, ale na gruncie interesów klasy robotniczej w celu wyzwolenia pracy.

Korespondencyja z Poznania.

W mieście naszem — jak wiadomo — mało można spotkać fabryk; po większej części są tu warsztaty, zatrudniające po kilku, kilkunastu, a nawet czasami i kilkudziesięciu robotników, ale zawsze tylko warsztaty, nie prowadzące roboty na sposób fabryczny. Czy położenie robotników od tego jest lepsze? Gdzie tam, nietylko nie lepsze, ale nawet gorsze, niż w miastach fabrycznych. Taki zbogacony majster, właściciel warsztatu, gorzej jeszcze żyłuje robotnika, niż fabrykant; nie mając udoskonalonych narzędzi, lub maszyn, zastępuje je zwiększoną eksploatacyją. Przytem wielu z pomiędzy tych majstrów znajdowało się w biedzie, później zaś, dzięki jakiejś udatnej szacherce, poprawiwszy swe in-

STULETNIA ROCZNICA
II.

WZIĘCIE BASTYLII
14-go lipca 1789 r.

W parlamencie francuskim, zwołanym po raz pierwszy od lat stu kilkudziesięciu, toczyła się walka między przedstawicielami mieszczaństwa z jednej, z królem, szlachtą i duchowieństwem złączonymi z drugiej strony. Mieszczaństwo odniosło już co prawda jedno zwycięstwo: podczas gdy dotychczas przy głosowaniu nad nowemi prawami szlachta i duchowieństwo, jako dwa stany, miały dwa głosy, a mieszczanie tylko jeden, przez co byli w mniejszości, odtąd głosować mieli osobiście wszyscy członkowie parlamentu; mieszczanie, stanowiący połowę, mogli się zatem spodziewać niejednego zwycięztwa; ale zwycięztwo to było niepewne, gdyż król mógł lada chwila zemścić swą porażkę i upokorzenie zniesieniem uchwały parlamentu.

A zdawało się, że zemsta taka nie byłaby niczem trudnem. W Paryżu i okolicach stało 55 tysięcy żołnierzy, po większej części płatnych cudzoziemców, gotowych przelewać bez miłosierdzia krew ludu zbuntowanego. Z drugiej strony mieszczaństwo czuło wprawdzie, że ma za sobą lud, który w niem widział wówczas swego zbawcę, ale nie mogło być pewne, jak daleko posunie się gotowość ludu stania w jego obronie; tem bardziej zaś można było powątpiewać w rewolucyjność ludu, że paryżanie w ciągu ostatnich stu lat nie widzieli ani jednego bardziej poważnego buntu i mieli sławę ludzi niezmiernie grzecznych i wesołych, ale wcale nie gwałtownych.

To też zuchwałość szlachty i dworu nie miała granic. W pałacu królewskim odbywały się ciągle bale, na których odgrażano się głośnie zuchwałym paryżanom, a królowa i panie dworskie swemi białemi rączkami przypinały kokardy oficerom, którzy wydawali się najbardziej krwiożerczymi.

Wreszcie w początkach lipca postanowiono skończyć z „ludem“ i uknuto następujący spisek: w nocy z 14 na 15 lipca mieli być zaaresztowani wszyscy przywódcy ruchu, następnie parlament miał być rozpędzony; co się zaś tyczy paryżan, to miano ich przyprowadzić głodem do pokory, w razie gdyby zechcieli szemrać.

Chcąc usunąć przeszkody, które mogłyby się znaleść na drodze, król odprawił jednego z ministrów, Neckera; człowiek ten wiedział o spisku i nie sprzeciwiał się wcale przygotowaniom, ale był niezmiernie lubiany przez lud za to, że kiedyś zażądał od króla niektórych reform (zmian w prawach). Otóż człowiek lubiany przez lud, nie mógł być ulubieńcem króla. Zamiast ogłosić wszędzie o zamierzonym spisku i wezwać lud do obrony, Necker zapakował manatki i cichaczem drapnął do Holandyi. Przeczuwał widocznie, że wkrótce miało być gorąco we Francyi.

W niedzielę, 12 lipca, przyszła do Paryża wieść o tem, że Necker już nie jest ministrem. Pierwszych, którzy o tem mówili, uznano za zdrajców, albo wyśmiano, ale zwolna zaczęto się przekonywać, że to prawda. Natychmiast miasto całe zawrzało; w kawiarniach i ogrodach publicznych zbierały się tłumy ludzi, którzy otwarcie mówili, że należy zmusić króla siłą do przywołania ulubionego ministra. O 2 po południu w ogrodzie znajdującym się wewnątrz znanego pałacu królewskiego *Palais Royal* (czytaj: Pale Rojal) wśród tłumu, rozprawiającego o wypadkach dnia, nagle zjawia się pewien młody człowiek, Kamil Desmoulins (czytaj: Demulę), wskakuje na stół i grzmiącym głosem oznajmia zebranym, że wojska królewskie wkraczają do miasta, zajmują ważniejsze punkty i przygotowują się do rzezi! Następnie wezwał obecnych do broni i przypiął sobie do kapelusza liść zielony, jako znak, mający służyć dla poznawania się. Natychmiast wszyscy idą za jego przykładem, zdobią sobie kapelusze liśćmi, porywają popiersie Neckera, znajdujące się w jednej z pobliskich sal i wychodzą na ulicę. Tam napada na nich silny oddział konnicy szwajcarskiej i rozprasza ich, przyczem pewien żołnierz, trzymający stronę ludu, został zabity.

Widok krwi przelanej podnieca lud jeszcze bardziej: gromady ludzi wpadają do ratusza, domagając się broni; znajdują skład broni gwardyi miejskiej i w jednej chwili dzielą ją między siebie. Ale to nie wystarcza dla uzbrojenia nawet dziesiątej części, to też reszta tłoczy się przed arsenałem i koszarami i trzyma w oblężeniu urzędników magistratu, domagając się wydania ukrytej broni.

Nazajutrz od rana w całem mieście biją w dzwony, poruszane przez ludzi, którzy nawołują w ten sposób innych do broni. Król tymczasem zbiera wojska i układa plan wtargnięcia do Paryża oraz spis ludzi, których chce pozbawić wolności. Zresztą trzeba dodać, że spokojność króla pochodziła tylko z nieznajomości niebezpieczeństwa; był on przekonany, że cały ruch jest sztucznie wytworzony przez jednego z jego krewnych, któremu się chciało korony i że łatwo go będzie stłumić. Szlachta i dworzanie byli w największym strachu, bo czuli, że lud się zbudził i nie wiedzieli, gdzie się zatrzyma. Dlatego też wszystko było w największym nieładzie; jedni chcieli iść na Paryż, inni uciekać za granicę, trzeci wejść w układy z ludem itd.

Wreszcie nadszedł dzień 14-go lipca. Ruch, który dotąd nie miał jedności ani w działaniu, ani w celu, teraz nagle skupił się, choć jedno-

teresy, teraz drży ze strachu, żeby znowu w nią nie popaść i wyzyskuje robotnika bez litości.

Posełam wam, towarzysze, parę przykładów dla poparcia tych słów.

Istnieje na Świętym Marcinie warsztat szewski pana Franciszka Andrzejewskiego. W warsztacie pracuje kilkunastu czeladników i p. Andrzejewskiemu wcale nieźle się wiedzie; dlatego też cieszy się on nielada poważaniem wśród swych kamratów, jest nawet członkiem komitetu wyborczego. Tymczasem popatrzmy, co się dziele z jego robotnikami. Zarobek tygodniowy wynosi 10—12 marek (5—6 rubli), właśnie tyle, ile trzeba, by nie umrzeć z głodu. Naturalnie, że przy takiej płacy oszczędności robić nie podobna, choćby się było kawalerem, a cóż dopiero, gdy się ma żonę i dzieci. To też lada przerwa w robocie przyprowadza robotnika do ostatniej nędzy. Tymczasem przed samemi świętami bożego narodzenia pan majster wydala dwóch czeladników, którzy pracowali u niego już od półtora roku i niejedną setkę talarów wpędzili mu do kieszeni. Widocznie obawiał się, że będzie miał o kilka par butów za dużo i że straci na tem kilkanaście marek, choć innym czeladnikom swoją drogą każe pracować od świtu do zmierzchu. Ale nie dość na tem: po świętach majster oddala jeszcze trzeciego i to żonatego, ojca dwojga dzieci, chociaż ten od 3 lat u niego pracował. Możemy sobie wyobrazić, co za położenie musi być tych biedaków, bez grosza przy duszy, w środku surowej zimy poznańskiej.

A teraz jeszcze jeden fakt. W warsztacie p. Urbanowskiego pracował od lat kilkunastu stolarz Karolek; przez cały ten czas naturalnie że sam nic nie zaoszczędził, ale za to zbogacił kabzę majstra. W warsztacie tym istnieje zwyczaj, że robotnicy są rozpuszczani na czas świąt i zwykle biorą wtenczas z góry niewielki forszus. Nasz stolarz robi to samo, ufny w kilkunastoletnią praktykę, podczas której zawsze pozwalano mu potem częściami zwracać te pieniądze. Mijają święta, roboty rozpoczynają się; Karolek idzie do warsztatu. Gdy przychodzi sobotnia wypłata, pan Karolek nagle dowiaduje się, że stracił miejsce: chce otrzymać przynajmniej płacę za tydzień, ale i tej mu odmawiają. Biedakowi na tę wiadomość aż łzy stanęły w oczach. Żona jego i dzieci nie jadłyby nic tego wieczora, gdyby się koledzy nie byli złożyli po kilkanaście fenigów.

Oto, jak postępują nasze „warstwy średnie" z robotnikami, którzy pracowali na nie po kilka lub kilkanaście lat. Za to na boże narodzenie urządzono gwiazdkę dla ubogich dzieci, na którą co prawda, zebrano ze składek dwa razy więcej, niż rozdano, a p. Andrzejewski urządził imieniny, na które zaprosił wszystkich swych robotników i gdzie za ich własne pieniądze kazał im wznosić wiwaty na swą cześć. Postępowanie burżuazyi zawsze jest to samo: żyje i tuczy się za nasze pieniądze, a potem rzuca nam ochłap i sądzi, że nas tem zadowolni. Ale do czasu dzban wodę nosi.

W jesieni mają się podobno odbyć wybory. Kiedyindziej napiszę wam, jak się do nich myślimy przygotowywać. Położenie nasze nie jest złem, gdyż posłowie polscy tak nikczemnie zachowywali się podczas tych trzech lat, że chyba niejednemu otworzyli oczy. Trzeba tylko, żebyśmy potrafili wyzyskać ich błędy i doprowadzić je do wiadomości ogółu ludu pracującego.

Na nowy rok policyja poznańska miała grubo do roboty, gdyż w nocy rozrzucono mnóstwo *Przedświtów* w Jeżycach; Naturalnie, że szpicle przyszli, ale zapóźno i nic nie znaleźli. Na tej dobrej nowinie kończę.

Poznań, 5 lutego.

List z Warszawy.

Gdy biorę pióro do ręki, by pisać do *Przedświtu*, mimowoli przesuwa mi się przed oczami obraz dzisiejszej Warszawy w porównaniu z tem, co było przed 10 laty. Mówię o Warszawie robotniczej, która ocknęła się ze snu głębokiego; mówię o tej ludności, która żyła tak długo w zupełnej nieświadomości swego położenia i swych interesów, a która dziś budzi się do życia nowego i zwraca się pełna nadziei do sztandaru socyjalizmu rewolucyjnego.

Ale socyjalizm nie jest wszak hasłem wyzwolenia li tylko klasy robotniczej w ścisłem i ciasnem znaczeniu tego słowa: wszyscy pokrzywdzeni i wyzyskiwani, — wszyscy ci, co od ucisku i monopolu cierpią, — wszyscy, którym dzisiejszy porządek odmawia środków walki, skazując ich na pożarcie garstki uprzywilejowanej — wszyscy oni powinni zwrócić się do sztandaru, który ma na celu dobro kraju, równość i wolność jego obywateli, oraz zniesienie wszelkiej przewagi, źródło swe w przywilejach mającej.

Dlatego też i wielu z pozoru samodzielnych rękodzielników, którzy niby to są „na swojem", którzy niby to sami zwracają się do konsumentów, są u nas popychani do socyjalizmu niezależnie wcale od propagandy naszej, od akcyi partyjnej. Ci na pozór samodzielni i od kapitalistów niezależni rękodzielnicy, stoją nad przepaścią niewoli i ubóstwa, w którą ich wtrąca sam rozwój dzisiejszych porządków ekonomicznych.

Chcę na przykładzie pokazać wam, jakiem jest położenie naszego rzemieślnika samodzielnego, naszego rękodzielnika, pracującego niby to na własną rękę i nieznającego, co to zależność. Przekonacie się z faktów, jakiem jest położenie naszych rzemiosł i jak nędzną jest nadzieja, by stowarzyszenia rzemieślnicze w guście cechów itd. mogły przynieść jaką taką pomoc tym, którzy pracują, ale którzy z rozmaitych powodów nie są już panami owoców swej własnej pracy. Na dziś wezmę jako przykład cech szewcki.

Majstrów tego fachu jest około 2,400 *), a przedsiębiorców — po większej części żydów — jest około 150—160. Czeladników zaś szewckich jest około 12,000. Przeciętnie zatem majster każdy rozporządzałby 5—6 czeladnikami. Istotnie zaś warunki są inne. Produkcyja w fachu szewckim jest głównie drobna, ale nie na korzyść drobnych majstrów. Zobaczymy, że na tem polu pracy około 200 przedsiębiorców i majstrów ma wszystko w swem ręku.

Znaczniejsze firmy, których jest około 200, zatrudniają po 30—50 czeladzi; mały zaś procent tych uprzywilejowanych majstrów i przedsiębiorców wzniósł się aż do tego, by zatrudniać 100 lub więcej nawet czeladników. Jeżeli zwrócimy uwagę na ten fakt, że około 200 firm zatrudnia przeważną ilość czeladników, to zrozumiemy, że ów przeciętny majster z 6 czeladnikami, staje się legendą.

Za obrębem więc owych 200 firm mamy przeszło 2000 majstrów, którzy w znacznej swej ilości otrzymują roboty nie od konsumentów bezpośrednio, ale od owych 200 uprzywilejowanych, o których tylko co mówiliśmy. Z liczby więc 2,400 samodzielnych rękodzielników majstrów zaledwie 200 jest rzeczywiście samodzielnych; reszta otrzymuje od nich roboty.

Majstrowie, którzy otrzymują prace od zaso-

*) Podaję liczby okrągłe, zresztą szczegółowe dane nie są dokładne, bo co miesiąc bankructwa i upadek warsztatów zmieniają je.

---

cześnie spotężniał. W głowach wszystkich ludzi błysnęła myśl:

— Przedewszystkiem trzeba wziąć Bastylię!

Tu powiedzmy w paru słowach, jakie znaczenie miała Bastylija. Potężna ta forteca skierowaną była nie przeciwko nieprzyjaciołom kraju, ale przeciwko paryżanom. Położona w ubogiej części miasta, między ulicą i przedmieściem św. Antoniego, mieszkańcy których tyle krwi przelali podczas wszystkich rewolucyj, — mogła kulami armatniemi obrócić w perzynę całą dzielnicę. Ale i w czasach pokoju, poprzedzających rewolucyję, Bastylija oddawała władzy usługi, gdyż służyła za więzienie dla „przestępców" politycznych. Murów jej, grubych z góry na dziesięć stóp, a u dołu na 30 do 40, nic nie było w stanie przebić i gdy kaprys króla lub jakiego możnowładzcy wtrącił kogo do jej lochów, to ten nieszczęśliwy mógł być pewny, że już nigdy nie ujrzy światła dziennego. Lud właściwy mało od niej cierpiał, gdyż rzadko dostawał się do niej, ale swym szlachetnym instynktem przeczuwał, że to jest najważniejsza podpora monarchii, że póki Bastylija nie upadnie, nad Paryżem zawsze będzie wisiała groźba rzezi i niewoli. To też pomimo murów i armat, które broniły Bastylii i które zdawały się urągać największym armijom, postanowiono ją wziąć.

Ale z gołemi rękami nie podobna było tego zrobić. To też rano 30 tysięcy ludzi udaje się do pałacu inwalidów, oblega go i po krótkim oporze ze strony komendanta, wdziera się do środka, by zabrać ztamtąd 28 tysięcy strzelb i 20 armat. Potem wszyscy ruszają na Bastylię.

Przybycie ich poprzedzone zostało przez wypadek, który dobrze maluje owe czasy. Niejaki Thuriot zbliża się do fortecy i daje rozkaz straży, by go wpuściła do wnętrza; straż, trzymając się przepisów, nie wpuszcza go, ale Thuriot tak groźnie powtarza swój rozkaz, że przerażony żołnierz wpuszcza go. W ten sposób Thuriot mija trzy mosty zwodzone i dostaje się do komendanta twierdzy; przemawia do niego w imieniu ludu i wzywa go do natychmiastowego poddania się. Komendant, pod wpływem tej niesłychanej śmiałości, tłomaczy się przed nim, że armaty zostały cofnięte i że nie będzie strzelał do ludu. Thuriot nie wierzy i żąda, by mu pokazano fortecę. Posłuszny komendant prowadzi go na wieżę, poczem jednak każe wyprowadzić; ale żołnierze pod wpływem tej sceny stracili wiarę w siebie i zaczęli myśleć o poddaniu się. Na ulicy ś. Antoniego pokazuje się czarna masa; to lud idzie obalić siedzibę despotyzmu. Wkrótce plac, otaczający Bastylię, napełnia się mrowiem głów. Ale nikt nie wie, od czego zacząć. Przed oczyma ludu wznoszą się ściany, które zdają się urągać wszystkim siłom natury. Niektórzy zaczynają parlamentować z załogą; komendant w odpowiedzi daje znak, że będzie strzelał. Stary robotnik, cieśla, wchodzi na dach domu, przylegającego do bastyjonu i zaczyna rąbać łańcuchy, przytrzymujące most zwodzony. Nieprzyjaciel obsypuje go gradem kul. Ale to nic nie pomaga, — po chwili most wali się z trzaskiem i pierwszy dziedziniec zapełnia się oblegającymi. Odtąd huk wystrzałów armatnich nie ustaje ani na chwilę.

Walka była zbyt nierówna; chociaż załoga Bastylii składała się tylko ze stu kilkudziesięciu ludzi, jednak olbrzymie mury, za którymi się oni kryli, broniły ich od kul zupełnie, podczas gdy każdy ich strzał trafiał w tłum; to też zaledwo jeden żołnierz z załogi został zabity. Z drugiej strony zaś położenie oblegających było niezmiernie niebezpieczne, gdyż lada chwila mogła przyjść odsiecz i wziąć ich we dwa ognie. Ale wewnątrz fortecy zaczęto tracić nadzieję na odsiecz; groźny widok ludzi, którzy szli na śmierć pewną, zrobił swoje i załoga zaczęła mówić o poddaniu się; wkrótce wszyscy rzucili broń i zażądali od komendanta poddania twierdzy. Ten wahał się jeszcze chwilę, nawet podobno chciał podpalić prochy i wymordować w ten sposób parę set tysięcy ludzi, ale wreszcie przystał. Mosty zostały spuszczone i lud, szalejąc z radości, wpadł do więzienia, by uwolnić więźniów.

Dwustu piętnastu oblegających zostało zabitych, nie licząc setek rannych; pomimo to nie wywierano wcale zemsty na załodze, ucięto tylko łeb komendantowi, co mu się słusznie należało za nieludzkie obchodzenie się z więźniami. Tych naturalnie, że uwolniono i obnoszono w tryumfie po mieście. Dwóch z pomiędzy nich postradało rozum w swych celach, niektórzy nie pamiętali już, kiedy tam weszli. W innych celach znaleziono tylko kościotrupy, przykute za szyję do muru.

Tak padła, po czterech zaledwo godzinach walki, forteca, uważana za niezdobytą. Ludzie, którzy ją wzięli, nie posiadali wcale sztuki wojennej, byli po większej części kiepsko uzbrojeni: wodzami ich byli dwaj energiczni obywatele, którzy swą stanowczością tak się odznaczyli, że każdy ich słuchał.

Tymczasem zwycięztwo to miało olbrzymie znaczenie. Odtąd partyja szlachecka i dworska straciła wiarę w swe siły i rachowała już tylko na intrygi pokątne i przekupstwo. Król zaś za każdym krokiem musiał robić ustępstwa. A rewolucyjoniści śmiało podnieśli głowy i coraz ważniejszych rzeczy domagali się.

Wiadomo, czem się ten ruch skończył, a mianowicie: respubliką, ucięciem królowi głowy i obaleniem panowania szlachty.

Arystokraci na wieść o upadku Bastylii, zaczęli tłumnie uciekać z Francyi, a w całej Europie obrońców wolności taka radość przejęła, że nawet w Petersburgu na ulicach ludzie ze łzami rozczulenia rzucali się sobie w objęcia.

bniejszych firm, dzielą się na dwie kategoryje. Pierwsza, niewielka ilość, stanowiąca może $1/5$ lub $1/4$ część majstrów, otrzymuje większą ilość roboty i zatrudnia do 10, a nieraz do kilkunastu czeladników. Kategoryja ta stanowi niejako arystokracyję majsterską drugiego stopnia, zależną przytem od owych 200 magnatów,ześrodkowujących w swych rękach wszystkie zamówienia. Druga kategoryja, prawie cały, bo najmniej $3/4$, naród majsterski, jeżeli można się tak wyrazić, pracuje albo sama, albo przy pomocy czeladnika jednego, a czasami dwóch, albo też wreszcie w towarzystwie kilku terminatorów. Pierwsza kategoryja wyzyskuje czeladź, zarabiając na każdej parze butów po 20—50 kopiejek (zdolny robotnik wyrabia 2 pary dziennie); druga kategoryja zyskuje to, co terminatorzy zarabiają ponad koszty swego utrzymania.

Norma dnia roboczego nigdzie prawie nie istnieje. Pracują do 10-tej i 11-tej w nocy, a nieraz i do północy; w ten sposób długość dnia roboczego dochodzi i do 18 godzin.

Terminatorzy, których jest kilka tysięcy, są zobowiązani prawem do wpisowego, wynoszącego 4 ruble 40 kop. Otóż taką sumę nie każdy posiada; biedny więc pracuje pod pozorem próby tak długo, aż się nie postara o pieniądze. Znam dziesiątki takich faktów, gdzie próba ta trwa i dwa lata. Po wpisaniu się do terminu, który prawnie trwać winien 4 lata, terminatorzy obowiązani są chodzić do szkoły rzemieślniczej. Po czterech latach jest wypis, który kosztuje $8^1/_2$ rubla; nadto potrzebnem jest świadectwo szkoły rzemieślniczej. Otóż nie wszyscy go mają, co jest naturalnem przy wyzysku terminatorów; w takim razie płaci się na „żyrandol do kościoła“ 10 rubli. Niewielka liczba ma świadectwo, a jeszcze mniejsza tyle pieniędzy; to też pracuje się znów na majstra po 16, 18 godzin dziennie, aż ruble nie wyprowadzą go z tej niewoli egipskiej, by potem, jako czeladnik błądzić po pustyni dzisiejszych porządków społecznych.

„Życie“ czyli „koszt“ terminatora jest proste. Na śniadanie i kolacyję otrzymuje on zwykle po 3 do 5 kopiejek, a obiad składa się po większej części ze śledzia i z kartofli. Dodajmy, że w sobotę pracuje się zwykle przez całą noc, bo wyspać się można przecie w szkole.

Przy takim to wyzysku drobny majster ledwo wyżyć może. Zjawia się więc zapytanie, czy socyjalizm nie znajdzie dostępu do 2000 majstrów szewckich w Warszawie? Nie ma wątpliwości, że znajdzie. Dziś wstrzymuje go jeszcze próżność i ta nikczemna oświata patryjotyczna, która gniew majsterska zwraca w inną stronę t. j. na czeladź.

* * *

Na zakończenie listu dam wam kilka szczegółów o aresztach, które miały miejsce w łonie inteligencyi rewolucyjnej oraz wśród naszej klasy robotniczej.

Jeszcze w listopadzie przeszłego roku (9-go czy też 10-go) aresztowano: Władysława Gizberta, Wacława Naziębłę i Kazimierza Szczepańskiego. W końcu zaś grudnia uwięziono: Ludwika Kulczyckiego, Antoniego Zelcera, Napoleona Zelcera, Bolesława Handelsmana, Pawła Kowalskiego, Grelofa, Teplitza (?) i innych.

Areszty były znaczne, ale wielką część uwięzionych wypuszczono już na wolność. Przytem areszty te, które miały miejsce za obrębem organizacyi, wyrwały nam ze szeregów ludzi, których nazwisk nie znamy. W pierwszej więc chwili mogłem z trudnością wydobyć nazwiska wyżej przytoczone.

NOS DLA TABAKIERY

Podczas gdy panowie świata dzisiejszego uważają, że wszystko istnieje dla nich, podczas gdy oni siebie niejako za punkt środkowy uważają, około którego wszystko się winno obracać, to robotnicy, zdaniem ich, powinni się zastosować do tych warunków społecznych, które przez obecny stan rzeczy narzucone mu zostały.

Dla szlachcica lub fabrykanta wszystko ma być środkiem; jego życie, jego zdrowie, jego wygody, jego potrzeby i zachcianki nawet powinny regulować życie społeczne. On jest osią, około której wszystko się obraca, — celem, dla którego wszystko inne jest tylko środkiem. Gdy panowie siebie na widoku mają, wtedy umieją oni prawić o godności ludzkiej, o roli człowieka itd., w imię czego żądają zadosyćuczynienia rozwiniętych już i rozwijających się potrzeb.

Nie mielibyśmy nic do zarzucenia temu rozumowaniu, gdyby w istocie była mowa o człowieku. Zapewne, że dla człowieka wszystko się wytwarza, że dla niego są porządki społeczne i regulaminy towarzyskie. Ale panowie widocznie nie przyznają robotnikowi miana człowieka, bo od niego żądają poddania się pod warunki, przystosowywania się do nich, choćby z pogwałceniem wszelkich praw przyrodzonych. W stosunku do siebie, to uważają oni, że tabakiera jest dla nosa, ale w stosunku do robotnika chcą oni, by nos był dla tabakiery.

Weźmy dziś jeden z licznych przykładów, udowadniających słuszność naszego rozumowania...

Położenie robotnika jest złe — panowie sami to przyznają. Trudno zresztą zaprzeczyć temu, gdy przed oczami naszemi przesuwają się tysiące obrazów najokropniejszej nędzy i najstraszniejszego ubóstwa. Czego jednak panowie nie przyznają, to tego, by wina tych sromot społecznych na urządzenia spadała na panujący porządek rzeczy. Według nich, robotnik sam stwarza sobie to okropne położenie, w jakiem się znajduje. Jedni gotowi nawet powiedzieć, że robotnik robi to z rozmysłem, by zmartwić pana lub galicyjskiego urzędnika patryjotycznego, który nietylko o orzełku myśli, ale nawet o dwugłowym orle. Sprytniejsi wszakże nie są na tyle bezczelni i tłomaczą się, że robotnik przez lekkomyślność jest twórcą własnej nędzy.

W jaki sposób przejawia się ta lekkomyślność? Czyż robotnik nie pracuje? Czy gra on na giełdzie? Wszak jedyne ryzyko robotnika, to ciągłe stawianie swego życia na kartę dla chleba codziennego. Otóż tego to chleba brakuje mu i panowie chcą to lekkomyślności przypisać.

Nie!... — odpowiada moralista burżuazyjny. Nie pracę ciężką nazywamy lekkomyślnością, ale robotnik dlatego jest lekkomyślnym, że bez żadnego kapitału, że nie posiadając własności żadnej, wchodzi w związki małżeńskie, ma potem liczną rodzinę, której wyżywić nie może.

Tak mówią panowie i nieraz się zdarza, że robotnik daje wiarę tego rodzaju mowom. Zdarza się, powtarzamy, że robotnik, który cały dzień pracy swej oddaje kapitalistom, znękany nędzą i ubóstwem, ścigany głosem głodnych dzieci, dopominających się kęsa chleba i łyżki strawy, że on nie w wyzysku widzi przyczynę swej niedoli, ale w głodzie swych dzieci, w potrzebach swej rodziny, ba, nawet we własnych swych potrzebach, w swym apetycie, w swem ciele, w swej potrzebie życia rodzinnego. Musimy dać temu nieszczęśliwemu argumenty, musimy mu przypomnieć przyczyny dzisiejszego porządku rzeczy, by nie dopuścić do złorzeczeń na wyniszczoną już głodem i chłodem rodzinę robotniczą.

Zapewne, że przyjemnem jest wtedy przystąpić do związków małżeńskich, gdy się ma w zapasie kapitał. Każdy z nas rozumie przyjemność, którą bogacze mają z podróży poślubnych itd. Zkąd jednak robotnik ma wziąć ten kapitał? Pomimo że każdy z nas, nieraz kosztem swego ciała i swego umysłu, stara się obejść się jaknajmniejszem, nie jesteśmy wszakże w stanie robić oszczędności. Te zaś, które mamy, pierzchają i nikną przy pierwszej słabości, przy pierwszem bezrobociu przymusowem. Rada więc, którą panowie dają, może być sprowadzoną chyba do tego, by robotnik, albo wcale się nie żenił, albo też bardzo późno dopiero wstępował w związki małżeńskie i by wcale nie miał dzieci.

I to dlatego, że według słów pańskich za mało jest środków wyżywienia się na ludność dzisiejszą. Trzeba więc ją zmniejszać i to przez niszczenie rodziny robotniczej.

Tymczasem bezustanne kryzysy, bezustanne krachy i zastoje w przemyśle dowodzą, że dziś za dużo jest towarów. Robotnicy za bardzo oszczędzają, rozumiejąc słowo oszczędność inaczej, niż panowie zwykli to czynić; innemi słowy, robotnicy za mało konsumują. Wprawdzie tego rodzaju oszczędność jest przymusowa, bo panowie i rządy starają się o to, by robotnika nie dopuścić do większego udziału w bogactwie, ale przymus tu nie przeciw nam mówi, jeno przeciw tym, którzy kierują dziś losami społeczeństw.

I dziwna doprawdy rzecz, by przypisywać rodzinie robotniczej winę tego, że praca nie otrzymuje swej wartości, że pracujący zostaje głodny przed magazynem przepełnionym towarami, które on sam stworzył.

I ci sami, co rzucają klątwy na każdy projekt organizowania pracy i produkcyi, ci sami chcą zorganizować klasę robotniczą tak, by ona żyła i rozwijała się według interesów i warunków spokojnego życia panów kapitalistów. Robotnik ma być tym wyjątkowym nosem, który nie powinien używać tabakiery, ale zastosować się do tabakiery.

Należy przedtem wytworzyć nowy gatunek robotników, który, jak stado ptaków wędrownych, zwiedzałby naszą kulę ziemską stosownie do potrzeb panów kapitalistów. Jeśli następuje zastój w przemyśle lub jakiś krach finansowy, to stado ulatuje; gdy rynek się ożywia, stado przyfruwa, wyczekując rozkazów od panów przedsiębiorców. Póki taki gatunek pracowników istnieć nie będzie, póty nie zaradzi się złemu, póty przymusowe bezrobocia trapić będą ludność pracującą, pogrążając ją w coraz większą nędzę, póty wreszcie i płaca robocza nie będzie wyższą od tej, która stanowi koszty produkcyi robotnika.

Daleko więc prościej będzie, jeśli zamiast stwarzać nowe gatunki robotników, wyrwiemy produkcyję z rąk pojedynczych spekulantów, własność z rąk przywłaszczycieli. Gdy i praca będzie regulowaną i pracujący zostanie w posiadaniu swej pracy, wtedy nie będzie za dużo niespożytych towarów, a jednocześnie zniknie głód i nędza.

Zapewne, że w życiu codziennem zdarza się napotkać na jednego i drugiego robotnika, który zawcześnie może tworzy sobie rodzinę, ale zarzut ten spotyka pojedyncze jednostki, nie zaś klasę całą. Tymczasem c a ł a klasa robotnicza cierpi!

Zresztą nawet ten, którego ogień miłości zawcześnie może zaprzągł w rydwan rodziny, nie dla tej przyczyny wcale cierpi głód i chłód. Dajmy mu owoce jego pracy — a będzie on w innem zupełnie położeniu; dajmy mu zawsze możność swobodnego pracowania, dajmy mu narzędzia pracy, a przymusowe bezrobocie nie pozbawi go i rodziny jego chleba codziennego.

Z punktu więc widzenia ekonomicznego zwalanie nędzy klasy robotniczej na rodzinę robotniczą jest fałszem.

Z punktu moralnego kwestyja również łatwo się przedstawia. Życie małżeńskie między ludźmi jest koniecznością; miłość u mężczyzny jak i kobiety jest nieodzowną potrzebą. Jeśli potrzeba ta rozwinęła się u robotnika więcej, niż należy, to jest to nie przyczyna jego nędzy, ale tylko skutek. Z doświadczenia bowiem wiadomo, że nędza wpływa na wzrost zmysłowości u ludzi. Robotnik ostatecznie nie jest tak głupim, by nie rozumieć, że jego rodzina, w której mu wypadnie żywić żonę i dzieci, nie doda mu bogactw, ale nie może on czekać, by zostać „złym i zepsutym człowiekiem“, nie może on wyczekiwać ani na bogactwo, które z wyzysku zbierze, ani na posag, który mu żona przyniesie, a tymczasem pędzić wesołe chwile w towarzystwie kobiet, zmuszonych frymarczyć swem ciałem i sprzedawać miłość, która nie zradza obowiązków.

Do jakich więc rezultatów doprowadzić może celibat (bezżenność) robotnika? Czy stan moralny naszego społeczeństwa jest tak dobry, by nie zrodzić obawy o jego pogorszeniu się? Czy doprawdy już tak mało jest nierządu, by trzeba było go powiększać jeszcze?

Zresztą mamy przykłady. Szczególnie w Szwajcaryi gminy nie pozwalają się żenić, jeśli narzeczony nie udowodni możności utrzymania rodziny. Ale co pomoże mała oszczędność, gdy choroba lub bezrobocie rozbijają wszystkie rachuby? To też w Szwajcaryi są miejscowości — a mianowicie miejscowości fabryczne — które pod względem nędzy zajmują pierwszorzędne miejsce w Europie.

Nie w rodzinie robotniczej tkwi przyczyna nędzy, ale w wyzysku i w dzisiejszej organizacyi społecznej.

Burżuazyja i szlachta, widząc nawałnicę, grożącą dzisiejszemu porządkowi rzeczy, chcieliby sztucznie przetrzymać panowanie przywileju. Ale nie nos dla tabakiery, jeno tabakiera dla nosa. I dlatego wyjdziemy z dzisiejszego ucisku i nieszczęścia, jeśli pracy damy należne jej miejsce, przez zniesienie wyzysku i własności zmonopolizowanej.

DRUKIEM „PRZEDŚWITU“ W GENEWIE, CHEMIN DANCET 15